*Barbara Kosmowska, Panna Foch plus minus 16 (2)*

– Miałaś rację. To wyjątkowe miejsce – odpowiedziałam na triumfujące spojrzenie Anki, gdy dotarłyśmy do celu naszej wędrówki, jeziora Kryształ. Było dużo większe niż to widziane z okien mojego pokoju. Miało prawdziwą plażę i pomost wchodzący głęboko w ciemną taflę wody.

Czekała nas kąpiel, pachniała łąka, niedbale rzucona wokół jak kolorowy dywan. I choć doskwierały okazałe pęcherze na stopach, nie żałowałam, że wreszcie opuściłam dom i podwórko.

Wycieczka zajęła nam pół dnia, bo wieś rozłożyła się nie tylko po obu stronach szosy, ale też ciągnęła szeregiem domostw i gospodarstw po porośniętym rumiankami wzgórzu. Przecinały ją ogrody i pasy małych poletek, zdobiły kolorowe płoty i cieniste szpalery drzew. Dzień był parny, nasiąknięty duchotą i wymarzony na długi spacer.

– Jak w raju! – westchnęłam, moszcząc się w zielonych źdźbłach trawy. – Ale dlaczego jesteśmy tu zupełnie same?

– Wszyscy przecież pracują. – Anię zdumiało moje pytanie, a mnie jej odpowiedź.

– No dobrze… dorośli tak… a gdzie dzieciaki? One chyba nie chodzą do pracy?

– Tak myślisz? – odparła Ania. – W wakacje odpoczywają turyści, nie miejscowi… Co nie znaczy, że na plaży jest zawsze pusto – zastrzegła szybko. – Popołudniami nie wciśniesz tu szpilki. Wszyscy przychodzą nad Kryształ. Cała wioska.

Kryształ lśnił jak prawdziwy diament. Jubilerskim blaskiem. A gdy zanurzyłyśmy się w zimnej, połyskliwej wodzie, poczułam się całkiem u siebie. Kocham wodę. Gdyby można było nurkować w kałużach, nie przepuściłabym żadnej.

Ania czekała na brzegu.

– Świetnie pływasz – pochwaliła efekt moich wieloletnich treningów.

– Też nieźle sobie radzisz – odpowiedziałam. – Od dawna jeździsz na basen?

Roześmiała się.

– Tu jest nasz basen! – Ogarnęła wzrokiem jezioro. – I nie ma żadnego instruktora. Czasami tylko rodzice albo starsze rodzeństwo pomagają w pierwszych lekcjach. Dlatego pływamy byle jak, śmiejemy się, że po warszawsku, tyłkiem po piasku… – Zamilkła na chwilę speszona. – No a ty przyjeżdżasz i nagle się okazuje, że po warszawsku to jakby dużo ładniej niż po naszemu.

Śmiałyśmy się tak głośno, że oburzone łabędzie poszukały sobie innego parkingu.

Ania wyjęła z plecaka kanapki. Nie sądziłam, że lubię chleb z masłem i pomidorem. Ale mógł to być dzień cudów, kto wie? Na wszelki wypadek zrobiłam kilka kolejnych zdjęć. Pokażę Kindze, jak wygląda mój świat w dniu cudów. Może zdarzy się następny i przyjaciółka zechce mnie odwiedzić?

– Jak myślisz? – zapytałam o to moją przewodniczkę, gdy wolno wracałyśmy do domu.

– Na pewno przyjedzie. – Ania wyglądała pociesznie w turbanie z ręcznika. – A jeśli nie będzie chciała, pomyśl, ile straci – dodała z błyskiem w oczach.

I znowu pozazdrościłam Ance, że dla niej wszystko jest takie jasne i proste.

Prawdopodobnie zawsze istnieje rozwiązanie naszych kłopotów – napisałam wieczorem w dzienniku. – Dziś Ania podsunęła mi pewien pomysł co do Kingi i chętnie go wykorzystam. Spróbuję przekonać Kingę, jak wiele traci, odmawiając przyjazdu do Wiśniowej Góry. A jeśli to się nie uda, znajdę inny sposób, żeby ją tu zwabić.

Zamknęłam dziennik nie do końca zadowolona. Myślę, że gdyby Ania przeczytała ten fragment, też nie byłaby szczęśliwa…

*Dziennik Janka Muzykanta*

*W Wiśniowej Górze aż się roi od koronowanych głów. Parę lat temu przyjechała tu księżniczka Ama, wierna kopia Królowej Śniegu. Myślała, że może mieć wszystko i wszystkich. Jej ojciec, władający wielkim państwem owiec i koni, spełniał każde życzenie jedynaczki. Wezwał mnie na królewskie pokoje, abym uczył jego córkę gry na gitarze. Okazało się jednak, że księżniczka chce kupić mnie, a nie kurs gitarowy. Potrzebowała nowej maskotki w swoim orszaku. Szczęśliwie uciekłem z wieży straceń.*

*Nowa arystokratka w naszej wiosce, ta, którą nazywam Panną Foch, jest z całkiem innej bajki… Według mnie mamy tu raczej do czynienia z księżniczką na ziarnku grochu. Sprawia wrażenie osoby, która pilnuje, aby się to kłujące ziarenko nigdzie nie zapodziało, bo zawsze musi mieć powód do niezadowolenia.*

*Zresztą nie chcę jej jeszcze oceniać. Może się przecież okazać, że ktoś tu jest prawdziwą księżniczką…?*

*Aha, zauważyłem, że jeszcze mnie nie zna, a już nie lubi. Dlaczego wcale mnie to nie dziwi?*

– W sumie to dobrze, że Kinga nie chce mnie odwiedzić! – jęknęłam, opuszczając w panice hamak. Schowałam się w pokoju i wygrzebałam dziennik spod sterty brudnych koszulek, których nie chciało mi się zanieść do pralki.

Jestem cała w bąblach po desancie komarów – relacjonowałam dziennikowi prawie na żywo. – Mój tata wygląda jak Mulat z oczami świecącymi niczym dwie patelnie. Tak się opalił przy zakładaniu plantacji. Mama jest jak wzornik farb i nie ma nic wspólnego z dawną elegancką mamą, a bliźniaki przypominają dwa worki mułu. Myślę, że nie warto ich myć. No i Czarny Kieł, który oszalał. Teraz, kiedy jest właścicielem wielkiego podwórza, wciąż przynosi smycz i czeka, aby go zabrać na spacer. Tłumaczę mu: „Jesteś szczęśliwym, wolnym Kłem! Możesz do woli biegać, obwąchiwać drzewa, robić sobie kupę, gdzie ci pasuje…”. A on dalej siedzi ze spuszczonym łbem i smyczą w zębach. Straszna jest moja rodzina. Mama z tatą udają wieśniaków, bliźniaki górników, a pies gardzi wolnością.

Z hukiem zamknęłam zeszyt. Nazbierało się we mnie niebezpiecznie dużo pretensji. Ze wszystkimi pognałam do kuchni. Trafiło na mamę.

– Kingi nie zaproszę, bo obciach z tą naszą wsią! – zaatakowałam ją od progu. – Wyglądamy jak jacyś wyklęci, jak… upadli chłopi! – Skrzywiłam się boleśnie.

– Co? A chłopi to niby gorsi? – Mama zrobiła przeraźliwie ogromne oczy, jakbym ją czymś zaskoczyła. – Wstydzisz się nas, Bobiku? – nie dowierzała. – Szczęśliwych ludzi się wstydzisz, którzy w dodatku mają wakacje? Wrzuć na luz! – zaproponowała na koniec, wzruszając ramionami.

Nie zdążyłam nawet nic odwarknąć, bo szczęśliwe bliźniaki rozpoczęły prace remontowe przy płocie, malując go na różowo, co ich szczęśliwą matkę mocno zdenerwowało. Ruszyła biegiem w stronę ogrodzenia, siejąc strach wśród malarzy.

– Nie ten koror? – chciał wiedzieć Groszek.

– Zła fabra? – dopytywała Fasolka.

Po chwili cała trójka zgodnie odnawiała płot odcieniem orzecha, a mnie pozostało drapanie obrzydliwych bąbli. Zazdrościłam im świetnej zabawy.

Bo tylko ja niczego nie robiłam. Jakbym nagle przestała pasować do własnej rodziny.

– Nudzę się. – Lekko wydęłam wargi przy kolacji. – Może wyskoczę do Warszawy na koncert? Albo do Kingi?

– Melbuj z nami pokój! – Fasolka klasnęła.

– Albo rób nam zgadywanki-rywomanki – zaproponował Groszek.

– Do Warszawy? Już? – Tata miał wąsy z wiejskiej śmietany. – Przecież dopiero co się sprowadziliśmy. Zresztą cała Warszawa marzy, aby przyjechać do nas!

– Nie cała – powiedziałam głosem, w którym chrzęściły kostki lodu. – Jakoś nikt mnie nie odwiedza.

– Bo nikt jeszcze nie wie, jak tu cudownie! – wtrąciła mama. – Jutro nie będziesz się nudzić. Urządzamy bal w ogrodzie.

– Przecież na razie nie ma żadnego ogrodu – zauważyłam przytomnie.

– No… Ogród to robocza nazwa. Zaprosiliśmy sąsiadów, aby ich lepiej poznać. Będzie ognisko i kiełbaski.

– Czy to będzie potrawa gówna? – spytała niewinnie Fasolka. – Co to w ogóle jest potrawa gówna? – chciała wiedzieć, wiercąc się na krześle.

Rodzice i ja spojrzeliśmy po sobie. Na chwilę zapomniałam o nudzie.

– Właśnie! Z czego ona jest? – dopytywał cierpliwie Groszek.

– Bo… Pani Bronia mówiła, że jutro przyniesie potrawę gówną – zakomunikowała Fasolka, patrząc na nas podejrzliwie.

– Danie główne! – Mama wyglądała na uszczęśliwioną i spłynął na nią spokój. – Pani Bronia przyniesie nam bigos!

– Ja wolę panią Bronię – oświadczył Groszek z męską stanowczością.

– Ja też! – Fasolka również wykazała męską stanowczość.

Patrzyłam z litością na dziwnych obywateli, którzy byli moją najbliższą rodziną, i skreśliłam w spisie marzeń wyjazd do Warszawy.

Trudno – pomyślałam. – Choćbym miała jeść tłusty bigos, zostanę z nimi. W ogrodzie, którego nie ma. Przy ognisku, którego nie chcę. Z jakąś panią Bronią i obcymi ludźmi. Ale kto wie, może to lepsze niż współczucie Kingi? Bo tylko ono by mnie witało na peronie w Warszawie.

– Mogę zrobić chłodnik – zaproponowałam niechętnie, co zostało natychmiast docenione.

– Witaj w rodzinie – patetycznie szepnął tata.

– Wiedziałam, że można na ciebie liczyć – dodała mama, jakby chodziło o ratowanie życia bliźniaków.

– Tylko nie zacznijcie pisać wierszy! – prychnęłam.

Następnego wieczoru nadciągnęli goście. Czarny Kieł kompletnie zgłupiał. Witał ich wylewnie, merdając ogonem. Dotąd przynajmniej on trzymał obcych na dystans. Widocznie też uległ tej dziwnej zakaźnej chorobie rodzinnej, bo radośnie obszczekał dosłownie wszystkich gości. I leciwego pana Franciszka, który ma hodowlę krów, i tego pryszczatego Janka, wpatrzonego w mojego tatę jak w obrazek. A także kulawego Teofila, który roznosi pocztę. Nie mogłam tylko zrozumieć, dlaczego w tym tłoku, pośród głośnych ogniskowych rozmów, nikt mnie nie zauważa. Nikt nawet nie zapytał, kim jestem. Pewnie już wiedzą, że Bobikiem – pomyślałam smętnie, zbierając puste talerze po chłodniku.

Na szczęście na listę gości los wpisał Anię. Uśpiła bliźniaki, zmywała przez cały wieczór brudne naczynia i jeszcze znalazła chwilę, żeby mi powiedzieć, jak bardzo się cieszy.

– Bardzo się cieszę… – tu odgarnęła włosy opadające na twarz – …że jesteśmy sąsiadkami. Bo u nas, w Wiśniowej Górze, no wiesz… Było dotąd tak zwyczajnie…

– Że niby teraz nie jest? – zdziwiłam się.

– Noooo… – Błysnęła zębami, które moja mama uznałaby za idealne. – Teraz nareszcie coś się dzieje – oświadczyła z zachwytem.

I choć ja jej zachwytu nie podzielałam, to było miłe. Może nawet milsze niż wszystkie wyznania Kingi? Myślałam o tym przed snem. I obiecałam sobie, że pokażę Ance kolekcję moich płyt Barbera. Przez chwilę rozważałam, co by pomyślał Julek, widząc mnie z nową koleżanką. Bo Anka nie nosi modnych ciuchów. Ale bez przesady! Świat się nie kończy na galeriach handlowych. Zwłaszcza tu, w Wiśniowej Górze, gdzie ja sama biegam boso. Kinga by mi tego nie darowała, ale cóż. Kinga mieszka teraz na innej planecie.

Podczas gdy ja zasypiam przy otwartym oknie, wsłuchana w świerszcze, ona swoje okno domyka, żeby stłumić odgłosy ulicy. Coś o tym wiem. Sama jeszcze niedawno uciekałam co wieczór od klaksonów i neonów stolicy, która nigdy nie zauważa, kiedy zaczyna się noc, tak tętni życiem. To gorsze niż bąble po komarach – znalazłam w końcu nędzne pocieszenie.

Ze ściany uśmiecha się do mnie Jason. Czarny Kieł macha na jego widok białym ogonem. Chyba zasypiam, bo idę w sukni ślubnej prosto do ołtarza, gdzie czeka na mnie mój wyśniony piosenkarz. I gdy już niemal wpadam w jego ramiona, przypominam sobie, że nie mam butów! Gdzieś się zapodziały, te na wyższym obcasie, których ani razu jeszcze nie włożyłam. Pewnie Fasolka je przymierzała. I choć bardzo tego nie chcę, zaczynam uciekać. Na obcasach nie dałabym rady tak biec. Oddalam się od Barbera, a on stoi ze smutną miną…

Na szczęście rano, gdy otwieram oczy, Jason wciąż patrzy w moją stronę tym samym rozkochanym wzrokiem.

*Dziennik Janka Muzykanta*

*Zastanawiałem się ostatnio, dlaczego nie mówię o sobie wprost, tylko za pomocą tekstów piosenek. Pewnie chodzi o to, że teraz wszyscy mówią o sobie wprost, i nie zawsze prawdę. Możliwe, że moje piosenki wiedzą o mnie więcej niż ja sam. Dlatego lubię się nimi wyręczać.*

*Kilka zdań i nie muszę nurkować w przeszłość. Co by to dało, gdybym opisywał tu najgorsze wspomnienia? Nie chcę współczucia. Nawet swojego własnego. Może ktoś kiedyś zanuci moją piosenkę, może komuś wyda się znajoma? Przecież wszyscy mamy kłopoty. Nikt na świecie nie jest pod tym względem wyjątkowy.*

*Na razie nie piszę piosenek, bo zajmuję się rozpoznawaniem skwaszonej Panny Foch. Jest taka nadąsana, że przyciąga tylko roje komarów.*

*Żeby nie było, że całkiem odpuściłem pisanie, zamieszczam fragment tekstu, który wkrótce będzie piosenką dla eM.*

*Znowu nie śpisz, a ja nie wiem, jaki sen odpędzasz,*

*dokąd znów uciekasz, walcząc z myślą złą,*

*jestem obok, twój obrońca, chociaż nędzarz,*

*nie wiem, jak cię zabrać, jak cię wyrwać stąd…*

*Do krainy, gdzie króluje cisza*

*i gdzie wszystko odtąd będzie dobrym snem,*

*droga eM, pojedźmy choćby dzisiaj…*

*Jedź tam ze mną, moja droga eM…*

*Ona znowu czuje się gorzej. Przyjechała ciotka. Jak dla mnie – zbyt hałaśliwa. Ale dobrze, że jest z nami. Sam nie dałbym rady przegonić tego smutku, którego się nie widzi, a który jest wszędzie. Najczęściej w oczach eM.*

*Ludzie nie rozumieją, jak to jest, kiedy choruje dusza, a nie żołądek albo nerki.*

Jak powiedzieć Pryszczatemu, że wczorajsze ognisko już się skończyło? Jest nowy dzień, czas rodzinnego lenistwa, a ten od świtu pałęta się po ogrodzie! A właściwie po łące, która kiedyś będzie plantacją fasoli. To nie jest w porządku, że obcy czuje się tu jak u siebie, kiedy ja właśnie chciałam w piżamie wyjść przed dom! Rozczochrana. Przed myciem zębów. W ogóle przed jakimkolwiek myciem…

I nie wyjdę! Za nic nie przekroczę progu, wiedząc, że jakiś okropny, nie wiadomo czemu uśmiechnięty chłopak krąży po moim terytorium.

Przez firankę kiepsko widać podwórko. Dostrzegam tylko, że tacie ten intruz wcale nie przeszkadza! Rozmawiają jak kumple. Skandal!

Przesuwam doniczkę z kaktusem, którego wczoraj dostałam od sąsiadów. Wychylam czubek nosa, ale widoczność wciąż jest fatalna. W tym czasie tata z Pryszczatym podchodzą do altany i tracę ich z oczu. Jak można się wściekać na kogoś, kogo się nie widzi? Postanawiam więc stanąć na parapecie. Zaczynam ostrożnie odsuwać biały muślin, lecz w tym właśnie tragicznym momencie doniczka spada i roztrzaskuje się na kupie cegieł pod oknem. Ja, oczywiście, nadal tkwię we framudze jak jakaś panna młoda, z firanką wokół szyi i z karniszem w ręce. Mam na sobie krótkie nocne gacie, a tata z tym swoim pomocnikiem zadzierają głowy. Ojciec macha do mnie, jakby to był peron, nie parapet! I oczywiście już są bliźniaki!

– Bobik wychodzi za żonę! – krzyczy Groszek.

– On jest zafirankowany! – przeraża się Fasolka.

– Bobiku! – No tak, brakowało tu tylko mamy. – Wiązanka ślubna oknem ci wyleciała! – Na dole rozbrzmiewa jej perlisty śmiech, podczas gdy ja tu, na górze, umieram. – Schodź na śniadanie! Są twoje ulubione faworki!

Mama nie przestaje się chichrać, bo to świetny żart przecież! Zrobić ze mnie najpierw idiotkę, a potem obżartucha! Czasem ich nie cierpię! Całej tej mojej rodziny motylkowatych!

Gramolę się z trudem do pokoju, wściekła jak królowa szerszeni. Zdzieram z siebie ten idiotyczny welon, choć gdy zerkam w lustro, to nie powiem, nawet mi w tej firance do twarzy. Ale i tak postanawiam nie wychodzić z pokoju do końca świata.

I na pewno wprowadziłabym swój plan w życie, gdyby nie to, że ktoś na dole robi faworki i zapach dociera na pięterko.

Co mi tam! – myślę, wciągając spodnie od dresu. – Ostatecznie nie mogę się buntować na głodniaka. I ruszam do kuchni.

Na szczęście Pryszczatego już wymiotło. Miałam dzięki temu szansę spokojnie omówić sprawę jego porannego wtargnięcia.

Kiedy skończyłam, rodzice patrzyli na mnie, jakby ktoś im podmienił dziecko.

– Ale o co ci chodzi? – Mama zapadła na chwilowy wytrzeszcz. – O naszego Jasia?

– Naszego?! – oburzyłam się. – Adoptowaliście go, czy jak? Co on, Jaś Fasola jest?!

– Lubię tego chłopca. Bardzo mi pomaga. – Tata powiedział to stanowczo. I tak jakby… nieodwołalnie.

– Janek ma trudną sytuację. – Mama najwyraźniej brała mnie na litość. – Od dawna o tym wiemy i…

– Nie chcę tego słuchać! – zawołałam, przerywając jej. – Ja też mam trudną sytuację! Na pewno trudniejszą! Za mało macie dzieci? Może zajmijcie się tymi, które już należą do rodziny! Ja sobie nie życzę…!

Nagle odkryłam, że zostałam sama. Mama westchnęła, tata pokręcił głową, po czym oboje bezgłośnie wyszli, cicho zamykając drzwi.

Otworzyły je dopiero bliźniaki wystraszone moimi wrzaskami.

– Nie kochasz Jasia! – Groszek, jak prawie zawsze, był wstrząśnięty.

– Sobie nas nie życzysz? – Fasolka niemal przełykała łzy.

– Nic nie rozumiecie. – Spojrzałam na rodzeństwo bezradnie, szukając jakiegoś wsparcia. – Jesteśmy zagrożeni…

– Jesteśmy zarażeni! – krzyczał po chwili Groszek na pół wsi.

– Jesteśmy zaburzeni! – towarzyszyła mu siostra.

– Wszyscy w tym domu są zaburzeni – mruknęłam, a wtedy rozległo się pukanie.

Poczułam ulgę, widząc na progu Ankę.

Poszłyśmy na górę. Włączyłam najnowszą płytę Jasona Barbera i poczułam się lepiej.

– Czasami mam ich tak okropnie dość! – poskarżyłam się koleżance, już spokojniejsza, bo Jason śpiewał piosenkę o prawdziwej miłości.

*Kiedy tonę w twych oczach, lalala, lalala, uuu,*

*płyną mi łzy wzruszenia.*

*Ty i ja, ja i ty nie mamy nic do stracenia.*

*Lalala, lalala, uuu, nic do stracenia…*

– Zawsze przy tym kawałku odlatuję – westchnęłam.

– Żartujesz, prawda? – Anka tak na mnie patrzyła, jakbym była UFO, które wylądowało na dachu naszej powstającej szklarni.

– Że odlatuję?

– Nie, że masz ich dość! – Uśmiechnęła się łagodnie.

Czyżby rodzice ją też już adoptowali? – przemknęło mi przez myśl.

– U was jest całkiem inaczej… – zaczęła z wahaniem. – Jakoś tak… serdecznie i wesoło. Wszyscy są mili.

Poczułam się głupio. Jak dobrze, że nie zdążyłam jej wspomnieć o dzisiejszej scysji. Choć ostatecznie nie było żadnej scysji. Mała różnica zdań. To przecież się zdarza w najsympatyczniejszych rodzinach.

– …aż Ama zaczęła mi docinać, że u was wiecznie siedzę. – Ania wyraźnie straciła humor.

– Ama? Zaraz… To ta dziewczyna z białego domu? Ze stadniny? Jej tata hoduje owce… – Przypominałam sobie zasłyszane urywki rozmów przy ognisku. – Ale o co jej chodzi? Przyjaźnicie się?

– Nie. – Ania potrząsnęła głową. – Ona nie ma prawdziwych przyjaciół. Zadaje się tylko, no wiesz, z wybranymi. Z dziewczynami, co pójdą za nią w ogień. No i jak ktoś jest z bogatszego domu, to też może liczyć na pewne względy… na przykład ty… – dodała takim tonem, jakby spotkało mnie jakieś szczególne wyróżnienie.

– Z bogatszego domu? I to niby o nas? – Zamrugałam z niedowierzaniem, aż Anka się roześmiała. – Zresztą, przecież ja jej nawet nie znam!

– Ale poznasz. Niedługo festyn, pamiętasz? – odparła, wsuwając tenisówki.

Co za dziwne zwyczaje! – napisałam w dzienniku, kiedy nasz dom znieruchomiał, uśpiony ciepłem wieczora. – Oceniać znajomych po rodzicach? Bo bogatsi lub ubożsi mogą być rodzice, a nie ich dzieci! Nawet u nas, w Warszawie, to by nie przeszło! Trudno zrozumieć, o co chodzi z tą Amą. Gdy tylko o niej mowa, każdy poważnieje albo robi się tajemniczy. Słyszałam, jak ludzie się nad nią litują, bo umarła jej mama. Mnie też jest z tego powodu przykro, ale czy nawet taki dramat usprawiedliwia wszystko, co robimy?

Nagle, nie wiedzieć czemu, poczułam, że oblewam się rumieńcem.

1. Napisz w 5 punktach plan tego opowiadania.
2. Jak widzi świat Pola, a jak Ania – wskaż kilka różnic.
3. Co wiemy o Janku? Poszukaj w tekście informacji o nim.